

NR 4 KWIECIEŃ 1998

CENA 5 ZŁ

PL ISSN 0040-0769 Indeks 3790-34

TEATR



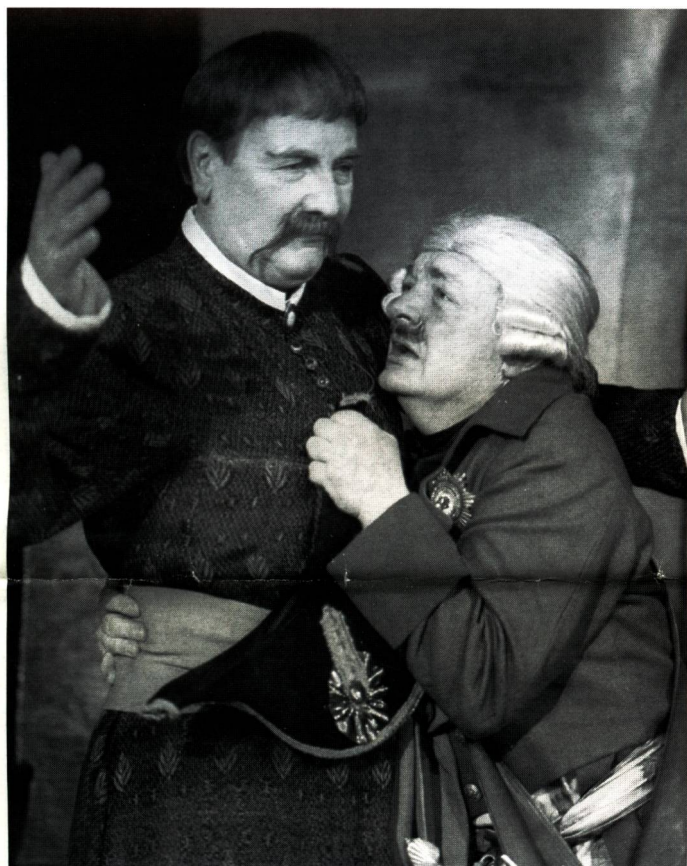
ZAPASIEWICZ ● NEKROŠIUS ● TUMINAS
„DZIADY” w Opolu ● „KSIĄDZ MAREK” w Teatrze TV

Dyskusja o romantyzmie

„TOMASZ MANN” Jerzego Łukosza

ŁAPICKI POSTMODERNISTĄ, czyli chytróść przechytzona

Jaxa Mayer



Ignacy Gogolewski (Rejent), Damian Damięcki (Papkin)

Pańskim wyobrażeniu do Rychtera mówił: młody człowieku. Otóż, miły Jańciu, myli się Pan, i to grubo: jestem młodszy od Andrzeja Łapickiego, a o Rychterze opowiadał mi pradziadek, którego rodzice oglądali warszawską prapremierę *Zemsty* w 1845 roku. A że się troszkę, proszę Pana, stylizuję, to już inna sprawa; to z odrazy do dzisiejszego świata, który - nie ma dwóch zdań - sfiksował z kretesem. Nawiasem mówiąc, przypomina mi Pan owego kandydata, zdającego niegdyś na Wydział Wiedzy o Teatrze, który to kandydat miał pono powiedzieć, że Jerzy Timoszewicz zajmuje się Schillerem, bo mu on młodość przypomina. Chciałbym ja zobaczyć minę naszego kochanego doktora...

Skoro Pan jednak żąda wiedzieć, com po premierze *Zemsty* Łapickiego pomyślał, to służę opinią. Racz Pan tedy przyjąć do wiadomości, że pomyślałem jak najlepiej, choć nie daję gwarancji, że - by się tak wyrazić - myśli moje są po myśli Pana Redaktora. Pan pewno by sobie życzył, żebym wychwalał uszanowanie tradycji, kult słowa i wszelkie inne piękności, którymi błyszczy to przedstawienie. W istocie, byłbym jako cymbał grzmiący, gdybym złe słowo w tej materii przeciwko Łapickiemu powiedział: to przecież mistrz, który swoje Fredreum wznosi od dawna i z podziwu godnym oddaniem. Przyzna Pan jednak, że poprzestać na tych oczywistych komplementach to krzywdzić Łapickiego. To tak jakby uczynić zeń kustosa fredrowskiego muzeum i chwalić za to, że z nie spotykany u innych smakiem i kulturą eksponuje zażytkowe zbiory. Muzealnictwo może być sztuką, ale wcale nie jestem przekonany, że li tylko w granicach tej szlachetnej sztuki wyczerpuje się fenomen *Zemsty*. Powiem więcej: uważam, że Warszawa się na tej *Zemście* nie poznała albo poznała się źle. Owszem, przedstawienie cieszy się powodzeniem, o jakim dawno nie słyszano. Sam widziałem długie kolejki do kasy, a słyszałem też - co Pan pewno wie lepiej ode mnie - że biletów można dostać u koników. Proszę Pana, toż to jak na jaki *Titanic* czy inne kinowe głupstewko. Mówiono mi też, że żądni zobaczenia *Zemsty* zapisują się na listy społeczne, co już graniczy z niepodobieństwem. Tak czy inaczej, publiczność "wali drzwiami i oknami", co, jak myślę, dzieje się za sprawą wybornej obsady. Zaraz do niej wrócę, przedtem jednak słówko o prasowym przyjęciu premiery, bo o nim myśle, twierdząc, że Warszawa nie poznała się na *Zem-*

Teatr Polski w Warszawie: ZEMSTA Aleksandra Fredry. Reżyseria: Andrzej Łapicki, scenografia: Łucja Kossakowska, muzyka: Andrzej Kurylewicz. Premiera 14 II 1998.

Drogi Redaktorze, znam ja już Pana jak zły szeląg. Proszę wybaczyć ten obcesowy incipit, ale muszę Pana przyprowadzić do porządku. Przecież Pan pomyślał sobie tak: skoro dyrektor Łapicki wystawił *Zemstę* tak, jak ją wystawił, czyli ostentacyjnie staroświecko, to któż inny miałby w tej staroświecczyźnie znaleźć upodobanie, jeśli nie Mayer niewierzyński, który w

ście. Przeczytałem, co w tej mierze ma do powiedzenia "redaktor dużego dziennika", lubiący, jak się zdaje, wyrokować: jego zdaniem *Zemsta* jest przedstawieniem w sam raz dobrym dla rówieśników Teatru Polskiego, ten zaś, jak wiadomo, liczy sobie lat 85. Jeśli dobrze rozumiem, umiłowanemu recenzentowi Warszawy nie przeszkadza, że amatorzy i znawcy antyków z upodobaniem chodzą do antykwariatu, jaki przy ulicy Karasia prowadzi Andrzej Łapicki. On sam, recenzent, w antykwariatach nie gustuje, jest raczej przedstawicielem krzykliwej pajdokracji i raz po raz ogłasza narodziny nowego cudownego dziecka, które polskiemu teatrowi przyniesie zbawienie. (Zapomniałem, jak się nazywa najnowszy wynalazek recenzenta, ów młody reżyser, któremu i Pan poświęcił ostatnio swoją uwagę.)

Oczywiście, każdy ma prawo do własnego sądu i smaku, toteż nie traciłbym czasu na puste spory, gdyby nie fakt, że recenzent tym razem pomylił się gruntownie. Moim zdaniem, *Zemsta* Łapickiego nie jest przypadkiem antykwarycznym, a jej urok nie polega na pieczołowitym odtworzeniu instrumentarium i brzmienia z epoki (w takim sensie, w jakim czynią to muzycy w rodzaju Harnoncourta czy Hogwooda, grając, dajmy na to, Bacha na instrumentach barokowych). Przeciwnie, przedstawienie Łapickiego ma wszelkie cechy teatru nowoczesnego, a nawet - *horribile dictu* - ponowoczesnego, czyli mówiąc inaczej - postmodernistycznego. Pewno to Pana dziwi, że nie wspomnę już, jak to zdziwiłoby Łapickiego. Atoli upieram się przy swoim: ta *Zemsta* jest postmodernistyczna; może nieświadomie, może krypto, ale jednak. Dlaczego? Ano, dlatego, że cała rozegrana jest w ironicznych nawiasach; cieniutkich bo cieniutkich, niemniej w nawiasach. Jest słoneczna, rozkoszna, rzekłbym - rozigrana. Czym wszelako igrają reżyser pospołu z aktorami? Igrają konwencją, bawią się - na najwyższym i najsubtelniejszym poziomie - formami dawnego teatru, przywołują strukturę arcykomedii ze wszystkimi walorami wiersza, frazy, średniówki, kadencji etc., ale to przywołanie nie może się obejść bez dystansu dyskretnie znaczonego zwrotami do widowni i lekutko budowanym pastiszem. Zabawa - na scenie i na widowni - trwa w najlepsze i trudno, żeby było inaczej: Fredrowski

rytm tkwi w zbiorowej wyobraźni od pokoleń, pewne zdania, powiedzenia, ba - całe sceny, są wspólną własnością narodowej pamięci. Nie ma chyba nikogo, kto śledziłby intrygę *Zemsty* da niej samej i w napięciu czekał, jak to się skończy. Odbiór *Zemsty* przypomina raczej słuchaną po raz setny operę, gdy czeka się na ulubione arie czy chóry - libretto znają wszyscy. Przedstawienie polega na respektowaniu umowy, że oto jeszcze raz odbędzie się gra, której reguły są znane i która emocjonuje samym faktem, że jest grą. Ona może być mistrzowska albo spartaczona. W przedstawieniu Łapickiego jest akurat mistrzowska i sprawia najżywszą radość. Z czego wniosek, że nie każdy postmodernizm jest godzien potępienia. Zresztą, jak Pan zapewne wie, istnieje nurt postmodernizmu wywiedziony z owych piekielnych machinacji interpretacyjnych, zwanych dekonstrukcją - i ten jest zjawiskiem abominacyjnym - oraz postmodernizm rozumiany jako artystyczny wyraz kulturowego konserwatyizmu; ten drugi wydaje się ciekawszy, a w każdym razie ja sam gotów go jestem akceptować, zwłaszcza jeśli przybiera takie formy, jakie wychodzą spod reżyserskiej ręki Łapickiego.

I obiecane słowo o aktorach: bez nich tego przedstawienia by nie było. Podoba mi się wszyscy, choć niejednakowo. Najwyżej stawiam Ignacego Gogolewskiego w roli Rejenta, bo to jest, Panie Redaktorze, rola-arcydzieło. On potrafi w obrębie jednego wersu pokazać i chytrłość, i obłudę, i pozorowaną pokorę, i utajoną grozę. Fantastyczny w sylwetce, która niby ciężka, przygięta zdradza migotliwą grę wewnętrznego wyrachowania. Zaraz obok Gogolewskiego Damian Damiński jako Papkin: to, proszę pana, rtec, żywe srebro; każdą częścią ciała gna w inną stronę, aż się zdaje, że za chwilę rozpadnie się na kawałki i po scenie będą latać nogi Papkina, ręce Papkina, głowa Papkina... A gęba miniasta, jakby była z gumy. Olbrychski: najoczywiście bawi się samym sobą, grającym rolę Cześnika-zawadiaki i bodaj najmocniej zaznacza autoironiczny dystans. Wiersz mówi, że daj Panie Boże zdrowie. Podstolina Barszczewskiej rozkoszna: niby głupia, ale na tyle mądra, żeby zawsze wyjść na swoje; nic jej nie żenuje, ledwie dba o pozory, wolno sądzić, że dla utrzyma-



Daniel Olbrychski (Cześnik), Wiesław Michnikowski (Dyndalski)

FOT. STEFAN OKOŁOWICZ

nia pozycji gotowa jest do rzeczy, które nie uchodzą damie dbającej o moralność.

Wacław i Klara bronią się na tyle, żeby w cokolwiek szampowo napisane postaci wnieść jakiś rys świeży i indywidualny. W końcu Dyndalski Michnikowski: rzecz nie do pojęcia, ale ta postać ja-koś ginie, nawet w popisowej scenie pisania listu. Dlaczego? Aktor o takiej sile komicznej jak Michnikowski wbrew wszelkim oczekiwaniom gra tak ja-koś cicho, dyskretnie i powściągliwie, jakby coś wiedział, czego nie chce wypowiedzieć, i trawił to w sobie, w skrytości ducha. Przedziwny to kontrast z grzmiącym Cześnikiem.

Scenografia Łucji Kossakowskiej jasna, świetlista, pastelowa wyśmienicie podkreśla zasadę gry z konwencjami, podobnie zresztą, jak czyni to muzyka Andrzeja Kurylewicza.

Do takiego teatru mógłbym chodzić co wieczór. Oczywiście, gdyby ta przyjemność nie łączyła się z całą wyprawą, bo jak Pan wie, podróż z Niewierzyna do Warszawy muszę odbywać autobusem i dwoma pociągami, których to środków lokomocji nie znoszę. Dobrze, że choć na przystanek autobusu mogę jechać, jak za pradawnych czasów, zaprzęgiem. Mój sąsiad, Zygmunt Lipa, pasiecznik, wciąż jeszcze trzyma konie.

Przyjechałby Pan kiedy, w maju cudownie kwitnie mój sad, zapraszam.

Tymczasem pozdrawiam i, jakby powiedział Fredro, kreślę się Pańskim uniżonym sługą

Jaxa Mayer

Niewierzyn, w marcu 1998.